
KAZIMIERZ BURZYŃSKI

KAZACHSTAN OCZAMI MŁODEGO ZESŁAŃCA

Przed wojną mając 12 lat skończyłem sześć klas szkoły powszechnej i chociaż geografia bardzo mnie interesowała, to jednak nic nie wiedziałem o Kazachstanie, podobnie jak o ówczesnej Rosji Sowieckiej. Późniejsze lata dały mi możliwość poznania tej republiki z autopsji, chociaż zupełnie bez mojej woli, a właściwie wbrew niej.

Łomża od dwudziestu miesięcy znajdowała się pod sowiecką okupacją, kiedy 19 czerwca 1941 roku na jeden z torów na stacji podstawili długi towarowy pociąg. Okienka wagonów były zakratowane lub miały przyśrubowaną w połowie solidną metalową sztabę. Miasto zamarło ze zgrozy. Wszyscy wiedzieli, co nasi „wyzwoliciele” nam szykują. Podobnymi pociągami deportowali na wschód tysiące mieszkańców ziemi łomżyńskiej 10 lutego i 13 kwietnia 1940 roku. Na kogo teraz padnie? Mieszkaliśmy w dosyć dużym domu wybudowanym przez mego dziadka Jana Burzyńskiego w 1908 roku. Na posesji liczącej ponad 3700m² znajdowały się poza budynkiem mieszkalnym różne budynki gospodarcze: garaże, stajnie, szopy – dziadek był właścicielem przedsiębiorstwa transportowego (transport konny), a ojciec przedsiębiorstwa transportu samochodowego.

W 1939 roku do 11 września Łomży bronił 33 pułk piechoty, zwany popularnie Pułkiem Dzieci Łomżyńskich, wchodzący w skład 18 dywizji piechoty dowodzonej przez gen. brygady Czesława Młota-Fijałkowskiego. Okupacja niemiecka trwała dwa tygodnie i już 29 września, realizując porozumienie paktu Ribbentrop – Mołotow z dn. 23. 08. 1939 roku i tajnego protokołu z 28. 09. 1939 roku, miasto zajęły wojska RKKK (Raboczo-Krestianskoj Krasnoj Armii – Robotniczo-Chłopskiej Czerwonej Armii).Całą naszą posesję zajęło wojsko. Moich rodziców i mnie oraz moją ciocię z synem i pasierbem stłoczyli w dawnym pokoju stołowym, a dziadkom pozwolili zachować ich sypialnię. Resztę domu mieszkalnego zajęły cztery rosyjskie rodziny, w tym dwie rodziny enkawudystów (jeden był zastępcą naczelnika łomżyńskiego więzienia).

Nie widzieć, czy to nasz stan majątkowy, czy fakt, że najstarszy brat ojca – Kazimierz był harcerzem i brał udział w wojnie bolszewickiej

(poległ pod Zambrowem 3 sierpnia 1920 roku mając zaledwie 17 lat i 10 miesięcy), spowodowały, że znaleźliśmy się na liście do wywózki. 20 czerwca o świcie przyszli po nas. Tak zwana grupa operacyjna składała się z trzech enkawudystów i jednego cywila – aktywisty jak go określali w protokóle rewizji przeprowadzonej zaraz po ich wejściu. Zabierali w nieznane rodziców mego ojca, moich i mnie. Dziwne, że nie interesowali się ciocią, która była żoną oficera Wojska Polskiego. Wujek był internowany na Litwie, więziony i już za okupacji niemieckiej rozstrzelany w listopadzie 1942 roku w Wilnie. Było już dobrze rano, kiedy przyjechała po nas ciężarówka – półtoratonowy GAZ – AA. Bagażu, który pozwolono nam zabrać była prawie pełna skrzynia. Przy pożegnaniu z ciocią nie obyło się bez łez. Czy jeszcze się kiedyś zobaczymy?

Dom nasz od stacji dzieli zaledwie kilkaset metrów, więc w ciągu kilku minut byliśmy na miejscu. Za rampą kolejową „nasz” pociąg, przed nim mnóstwo enkawudystów, a wokół tłum ludzi, furmanki, samochody, gwar jak na rynku w czasie największego targu. Strażnicy starają się nie dopuścić nikogo w pobliże załadowanych już wagonów. Jedziemy wzdłuż pociągu i w końcu zatrzymujemy się przed wagonem, którego drzwi są otwarte. Wagon jest jeszcze pusty. W okienkach metalowe sztaby. Po lewej i prawej stronie od wejścia zbite z grubych desek nary tworzące parter i piętro. Ponieważ mieliśmy możliwość wyboru, zajęliśmy miejsce na piętrze po lewej stronie czyli po tej, po której były okienka. Okienka po przeciwnej stronie były zabite na głucho, drzwi zaryglowane w pozycji lekko uchylonej, a przez szparę wysunięta była blaszana rura, która miała nam służyć za ubikację.

W krótkim czasie „dokwaterowano” nam następnych zesłańców z Łomży i okolicznych wsi. Wśród nich znalazła się cioteczna siostra ojca Jadwiga Przechodzeń ze swoją sześciolletnią córeczką Alusią. Jej mąż – prawnik z zawodu – siedział w tym czasie w łomżyńskim więzieniu. Zginął w 1943 roku w Stutthofie razem ze swoim bratem dokąd trafili za przynależność do jakiejś organizacji niepodległościowej. Staliśmy na stacji cały dzień w czerwcowym upale. Stale dowozili nowe rodziny, a tłum przed pociągiem gęstniał. Mimo zakazu obstawy wielu osobom udało się wrzucić przez okienka jakieś paczuszki, jakieś zawiniątka lub podać naczynia z wodą. Jakaś życzliwa ręka w ten sposób i nas poratowała. Późnym wieczorem tłum się przeredził, a stłoczeni w wagonach ludzie zapadli w nerwowy, niespokojny sen. W nocy obudził nas warkot samochodów, szcęk otwieranych drzwi, jakieś krzyki. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że to enkawudyści wybierali z niektórych wagonów ludzi i odwozili do więzienia. Nasz wagon taka wizyta ominęła.

Było już widno, kiedy podstawili lokomotywę. Krótco po tym pociąg ruszył z szarpnięciem wagonów i ogromnym łoskotem. Od pierwszego do ostatniego wagonu niósł się lament, płacz zrozpaczonych w swej bezsilności ludzi. Pociąg przyspieszał bardzo wolno. Koła stuknęły

miarowo i z każdym stuknięciem oddalały nas od naszych rodzinnych miejsc, od naszych bliskich. Zatrzymywaliśmy się rzadko i na krótko, ponieważ jednak pociąg jechał niezbyt szybko, Białystok mineliśmy dopiero po południu. Minęła kolejna noc w zamknięciu. Od rana dało się słyszeć jakieś odległe strzały, czasem ukazywały się na niebie jakieś samoloty, ale nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Nasi konwojenci, którzy jechali w drugim wagonie przed nami, twierdzili, że są to manewry. Zorientowaliśmy się, że to nie manewry a wojna, kiedy wjechaliśmy na stację w Wołkowysku i zobaczyliśmy dwa doszczętnie zniszczone pociągi, które kilka godzin wcześniej przepuściliśmy na jakiejś stacyjce. Tu też przeżyliśmy pierwszy w naszej podróży nalot. Takich nalotów na trasie Mińsk, Bobrujsk, Homel, Brańsk było jeszcze wiele. Skończyły się dopiero gdzieś w okolicach Orszy. Chociaż nasz transport nie był nigdy celem bezpośrednich bombardowań, to i tak według wydanej przez „Memoriał” w 1997 roku w Moskwie książce pt. *Riepriessii protiv Poliakov i polskich grażdan*, z wywiezionych 20 czerwca (1940) z Łomży 1.204 osób zginęło 12, a 17 odniosło rany.

Trudno było wywnioskować, czy wiozą nas na Syberię, czy do Kazachstanu. Jedziemy zygzakiem, raz bardziej na północ, to znów na południe. Minąwszy Lipieck, Tambow i Penzę wjeżdżamy na bardzo długi most. Domyślamy się, że pod nami płynie Wołga. Na jej lewym brzegu Kujbyszew, do 1935 roku i obecnie – Samara. Tu po raz pierwszy zaserwowano nam byle jaki, ale przynajmniej ciepły posiłek. Jeszcze kilkaset kilometrów na wschód i mijamy kolejne duże miasto – Czkałow – kiedyś i obecnie Orenburg. Za Czkałowem znów przejeżdżamy szeroką rzekę. To Ural. Jesteśmy w Azji. Pociąg kieruje się wyraźnie na południe, a więc celem naszej podróży nie jest Syberia. Słowo to od czasów carskich zsyłek budzi grozę, a my „rozkosze” Kazachstanu mamy dopiero poznać. Wreszcie po 12 dniach podróży, 4 lipca o świcie zatrzymujemy się na stacji naszego przeznaczenia. Miasteczko nazywa się Martuk. Rozładowują mniej więcej połowę transportu, reszta jedzie dalej. Jak się później dowiedziałem, wyładowali tę drugą część na stacji w rejonowym miasteczku Dżurun, około 180 km na południowy wschód od Martuka, za obwodowym miastem Aktiubińsk.

Dzień minął bez sensacji, a noc spędziliśmy pod gołym niebem przy swoich bagażach. Rano zjechało mnóstwo furmanek i rozpoczął się targ niewolników. Podjeżdżało kilka podwód zaprzężonych przeważnie w woły, a jakiś strażnik wyczytywał nazwiska i kazał się ładować. Na bagażach sadowiły się dzieci, ludzie starsi, czy słabi, a przede wszystkim woźnice, którymi byli z reguły Kazachowie. Kawalkada ruszała, a na jej miejsce podjeżdżały następne podwoły i procedura powtarzała się. Przyszła kolej i na nas. Moja mama i dziadkowie jechali na bagażach, a my z ojcem szliśmy. Oprócz nas jechało jeszcze kilkanaście fur. Dopiero w drodze dowiedzieliśmy się od woźniców mówiących łamanym rosyjskim

językiem, że kołchoz, do którego nas wiozą, nazywa się Żusasaj i dotrzemy do niego dopiero jutro.

Dla mnie i dla pozostałych towarzyszy niedoli wszystko wokół było nowe. Dziwnie brzmiały nazwy miejscowości, dziwnie wyglądali nasi woźnicy – Kazachowie – poubierani mimo upałów w ciepłą odzież, o zupełnie obcych nam rysach ze zwisającymi wąsami i bródkami przypominającymi kozie, dziwnie wyglądały nasze furmanki z wołami w jarzmach i dziwnie wyglądał step, płaski po horyzont, bez jednego drzewka, bez jednego krzaczka. Woły poruszają się bardzo wolno z szybkością nie większą niż przeciętna szybkość piechura, a więc do 4 km na godzinę. Maszerowanie przy wozie nie było uciążliwe, ale i ojciec i ja wskakiwaliśmy od czasu do czasu na bagaże aby dać wytchnienie nogom. Najbardziej dokuczał żar lejący się z nieba. Daleko przed nami majaczyły jakieś wzgórza. Będąc już na miejscu dowiedzieliśmy się, że Żusasaj leży na przedgórzu Uralu.

Zbliżał się wieczór. Po kilku popasach zatrzymaliśmy się w szczerym polu na nocleg. Kazachowie wyprzęgli woły, rozłożyli przy wozach jakieś maty, posilili się czymś, co mieli w węzełkach i ułożyli się do snu. Zesłańcy też zjedli, co kto miał, gorzej było z popiciem, bo po drodze nie napotkaliśmy żadnego strumienia, ani żadnej osady, w której można byłoby liczyć na studnię. Po nocy spędzonej pod gołym niebem, pożądleni przez niezliczone chmary komarów, ruszyliśmy o świcie w dalszą drogę i koło południa dotarliśmy na miejsce. Osada składała się, jak pamiętam z dwudziestu jeden glinianych, malutkich chatynek rozmieszczonych kółkiem, tworzących w środku coś w rodzaju placu. Był 6 lipca, niedziela, wtedy jeszcze wolna od pracy, więc wylegli chyba wszyscy mieszkańcy, aby oglądać „wrogów” ludu. Patrzyli na nas z ciekawością, ale i podejrzliwie, bo wcześniej byli uświadomieni, jaki niebezpieczny element do nich przybędzie. Wszyscy wyładowali swoje bagaże na środku tego placu i czekali, co będzie dalej. Wkrótce nadjechał konno enkawudysta, prawdopodobnie z Martuka, i w asyście kilku mężczyzn reprezentujących zarząd kołchozu rozpoczął do zesłańców przemowę.

Kilka zdań z tej przemowy zapadło mi głęboko w pamięć. Powiedział między innymi:

– Przyjechaliście tu, żeby pracować i będziecie pracować, dopóki nie zdechniecie.

– Nie myślcie o waszej Polsce. Polski nie ma i nie będzie. Jak nie zobaczycie swojego ucha, tak nie zobaczycie swojej Polski. Przewodniczący kołchozu kazał szukać sobie, na własną rękę kwater u tubylców i wspólnie dał w poniedziałek wolny dzień na zagospodarowanie się. Ludzie pytali, co będą jedli, domagali się chleba. Przewodniczący wskazał ręką na łan zboża, zaczynający się zaraz za osadą, a którego końca nie było widać i powiedział z dumą:

– Popatrzcie ile chleba rośnie. Już wkrótce będą żniwa.

Ojcu udało się załatwić lokum u pary młodych Kazachów, którzy nie mieli jeszcze dzieci. Oczywiście o pieniądzach nie było mowy, bo i tak nic nie można byłoby za nie kupić. W grę wchodziła odzież, bielizna, pościel i takimi rzeczami ojciec opłacił komorne. Wszystko, co mieliśmy wzbudzało zachwyt wśród miejscowych nędźnie odzianych i nędźnie wyposażonych mieszkańców. Mimo początkowej nieufności chęć zdobycia tak wspaniałych (dla nas normalnych) rzeczy przemogła wszelkie opory. Chata, jak wszystkie we wsi, zbudowana z bloczków wielkością zbliżonych do naszego siporeksu, a wykonanych z gliny wymieszanej z krowim nawozem i słomą, i wysuszonych na słońcu. Tamtejsza nazwa takiego bloczka to *saman*. Dach stanowiła położona wzdłuż budynku drewniana, okrągła belka z ułożonymi na niej w poprzek żerdziami, przykrytymi warstwą wikliny. Całość z zewnątrz i od wewnątrz oblepiona gliną, podobnie jak *saman*, zmieszaną z krowim nawozem. Za podłogę służyła polepa wykonana z takiego samego materiału.

Wchodziło się do takiej chaty przez obórkę, w której stała uwiązana do słupa krowa. Z obórki było wejście do kuchenki z wbudowanym na stałe w palenisko żeliwnym kotłem, a z niej do maleńkiej izby, którą odstąpili nam gospodarze przenosząc się do tej właśnie kuchenki. Jedyнным wyposażeniem izby były zbite z desek nary. Spaliśmy na nich pokotem, całą piątką. Zresztą w całym gospodarstwie nie było innego wyposażenia: ani stołu, ani krzesła, ławki czy zwykłego stołka.

Tubylcy szybko się przekonali, że „wrogowie ludu”, jak nas określała bolszewicka propaganda, to tacy sami ludzie jak oni, chociaż o odmiennym wyglądzie, odmiennej kulturze, odmiennych wierzeniach. Starsi, mimo stalinowskiej nie przebiegającej w środkach ateizacji, pozostali na ogół wyznawcami islamu, zaś młodzi raczej byli ludźmi niewierzącymi. Widać jednak było wyraźnie, że ani jednym, ani drugim to nie przeszkadzało. Również ani jednym, ani drugim nie przeszkadzało to, że wszyscy nowi mieszkańcy Żusasaju to katolicy, wyznawcy nieznanego im przedtem religii. Nigdy nie odnosili się do nas z tego powodu wrogo, lekceważąco, nie robili na ten temat żadnych przytyków, ani żartów. Nie wiem, jak gdzie indziej, ale „nasi” Kazachowie byli ludźmi naprawdę tolerancyjnymi.

Byli również niezwykle gościnni. Nasi gospodarze, kilka dni potem jak zamieszkaliśmy u nich, urządzili powitalne przyjęcie. Zarznęli barana (oprócz krowy mieli kilka owiec i stadko kur), gospodyni nagotowała w kotle pływającego w tłuszczu mięsa, zagniotła ciasto z pszennej razowej maki, rozwałkowała je butelką na naszych narach na cienkie placki (jak na makaron) i przekroiła na cztery części. Mięso wybrała z kotła do miednicy i oddzieliła je od kości, a na „rosół” wrzuciła placki. Po ugotowaniu wylowała je i włożyła do mięsa. powstał kazaski przysmak – *biszparmak*.

Na przyjęcie został zaproszony mój ojciec, dziadek i kilku Kazachów. Kobiety i dzieci mogły posilić się dopiero po tym, jak najedli się mężczyźni. Gospodyni postawiła miednicę z *biszpami* na podłodze w kuchence, a goście obsiedli ją dokoła. Jedzono rękoma wybierając kawałki mięsa i placki wprost z miednicy i zlizując ciekący po przedramieniu tłuszcz. Popijano podawanym w czarkach gorącym wywarem. Do dobrego tonu należało czknięcie po posiłku. Był to dowód, że gość się najadł, a gospodarz czuł się wtedy w pełni usatysfakcjonowany. W tym czasie, kiedy mężczyźni jedli, gospodyni wiechciem ze słomy wyczyściła kocioł, nalała weń wody i zagrzała ją. Napełniła nią zgrabny, wąski, o wysmukłej szyjce, mosiężny dzbanuszek. Biesiadnicy umyli, a właściwie opłukali ręce polewaną z tego dzbanuszka wodą, po czym wytarli je o własną odzież. Uczta była skończona. Jak się później zorientowałem, takich dzbanuszków używali wszyscy miejscowi Kazachowie do higieny osobistej. Ubikacji tam nie było, więc kiedy widziało się Kazaszkę lub Kazacha wędrującego z dzbanuszkami w step, wiadomo było, że idzie za własną potrzebą.

Takich sytuacji, które nas bulwersowały, żeby nie powiedzieć – szokowały, było więcej. Kiedy pytaliśmy o opał, powiedziano nam, że trzeba iść w step zbierać *kiziak*, czyli wysuszone krowie łajno i tym palić. Gdy przyszło mi to robić po raz pierwszy, starałem się wyszukiwać tylko bardzo dobrze wysuszone kupki i nagarniać je do koszyka nie dotykając ręką. Po jakimś czasie przyzwyczałem się i brałem bezpośrednio nie tylko suchy *kiziak*, ale i ten jeszcze niezbyt dobrze wyschnięty. Szkoda było zostawiać taki skarb. Jutro mogło go już nie być, bo przecież takich zbieraczy było dużo.

Kiziaku używano nie tylko w postaci naturalnej, ale i nieco przetworzonej. Większą ilość krowiego nawozu rozkładano, tworząc krąg o średnicy kilku metrów, dodawano nieco słomy i polewano wodą. Następnie kilka osób z podwiniętymi nogawkami lub uniesionymi spódnicami udeptywało bosymi nogami tę masę. Do tego celu wykorzystywano czasem krowę lub wołu. Po wymieszaniu masą wypełniano formy, z których bryły, takie jak bryły torfu, wykładano na stepie do wyschnięcia. Układano z nich później pryzmy stanowiące zapas na zimę. W podobny sposób mieszano glinę, z której powstawał *saman* do budowy domów.

Nieprzyjemne wrażenie zrobił na nas sposób pieczenia przez Kazachów chleba. Właściwie nie był to chleb w naszym pojęciu, a podpłomyki z pszennej razowej mąki. Otóż płaskie, okrągłe placki kładli bezpośrednio na żar po spalonym *kiziaku*, a kiedy się upiekły, wyjmowali je, otrząsali z popiołu i większych kawałków, które się do nich przyklepiły i po ostygnięciu konsumowali. Inny, możliwy do zaakceptowania przez nas, sposób polegał na pieczeniu w *skoworodach*. *Skoworoda*, to rodzaj żeliwnej patelni bez rączki. Ciasto wkładano do jednej *skoworody*, przykrywano drugą o takiej samej średnicy i wkładano w żar, obsypując nim

całość. Placek nie miał bezpośredniego kontaktu z żarem z nawozu. Jednak nie każda rodzina miała takie *skoworody*. Był to już na tamtejsze warunki wyższy standard, żeby nie powiedzieć luksus.

W Żusasaju przepracowaliśmy niespełna miesiąc bez żadnego wynagrodzenia. Czwartego sierpnia przyjechało do kołchozu kilkanaście podwód zaprzężonych w konie i wielbłądy. Okazało się, że będą nas przesiedlać do innej miejscowości. Piątego wydano nam zaświadczenia stwierdzające od kiedy do kiedy pracowaliśmy i ile każdy z nas wypracował dniówek obrachunkowych (*trudodni*). Na końcu był dopisek, że rozliczenia nie dokonano. Do dziś kołchoz jest na papierze naszym dłużnikiem.

Podwoły podjechały pod domy, w których mieszkali Polacy. Załadowanie skromnego bagażu nie zajęło wiele czasu. Miejscowi żegnali nas z wyraźnym żalem. Tracili źródło dochodu, możliwość zdobycia tego, co w sowieckiej rzeczywistości było zupełnie niedostępne. Nam dostał się wóz zaprzężony w wielbłąda. Widywałem te zwierzęta przed wojną w cyrku, ale nigdy z tak bliska. Okazały się ciekawe pod wieloma względami. Ponieważ z Żusasaju do miejsca naszego przeznaczenia – sowchozu Dżireń-Kupa jest około 200 km, a podróż trwała trzy, czy cztery dni, dokładnie nie pamiętam, mogłem im się dobrze przyjrzeć. Tamtejsze wielbłądy, to wielbłądy dwugarbne – *baktriany* pokryte długą, gęstą, brązową sierścią.

W zaprzęgu, kiedy woźnica ponaglał wielbłąda do szybszego marszu, ten niezadowolony potrafił go opluć. Odwracał łeb, potrząsał nim, a duże wargi, szczególnie te rozdwojone, górne, trzepotały gwałtownie rozbijając ślinę na drobne krople i rozrzucając ją na znaczną odległość. Wielbłąd wydawał do tego pomruki niezadowolenia. Innego odkrycia dokonaliśmy, kiedy na którymś etapie podróży ojciec zajął miejsce woźnicy. W pewnym momencie spostrzegł, że zaczyna mżyć deszczyk. Zdziwienie było ogromne, bo na niebie nie dało się zauważyć ani jednej chmurki. Po wnikliwej obserwacji ojciec stwierdził, że to nie deszczyk, że to siusia wielbłąd, i to siusia do tyłu!

Kiedyś na popasie wdrapałem się na grzbiet leżącego wielbłąda. Nie uwzględniłem tego, że podnosząc się wielbłąd staje najpierw na tylne nogi. Zważywszy, iż kończyny tego zwierzęcia są bardzo długie, podniesienie zadu powoduje, że grzbiet jest nachylony w kierunku głowy pod bardzo dużym kątem. Tym sposobem, chociaż siedziałem między dwoma garbami, poleciałem z dosyć dużej wysokości na łeb, na szyję. Na szczęście nic mi się nie stało i nikt tego nie widział, bo pewnie śmiechu byłoby ze mnie co nie miara.

Dżireń-Kupa to duży *mołmiasosowchoz* (mleczno – mięsny sowchoz), nastawiony szczególnie na produkcję mięsa i mleka. W jego skład wchodziła centrala i dwie fermy rozlokowane w promieniu kilku kilometrów. Były to osady nie mające swojej nazwy. Określano je jako „sowchoz Dżireń-Kupa” ferma 2 lub 3. Centrala, jednocześnie ferma numer 1,

to duża wieś znajdująca się w miejscu gdzie łączą się dwie rzeki – Mała i Duża Chobda tworząc jedną o nazwie Chobda. Tak z resztą nazywało się i nasze nowe rejonowe miasteczko leżące około 120 km na południowy wschód od sowchozu. Obecnie nosi nazwę Nowoaleksiejewka. Jeżeli chodzi o rzekę Chobdę, to kilka kilometrów poniżej Dżireń-Kupy wpada do Ileku, ten zaś do Uralu, aby wreszcie zasilić swymi wodami Morze Kaspijskie.

Mieszkańcami sowchozu byli w większości Kazachowie, poza nimi Rosjanie i Ukraińcy. Nas w przeważającej części zostawiono w centrali, resztę odesłano do fermy numer 2 i 3. Zamieszkaliśmy na skraju wsi u starszej samotnej kobiety. Ciocia Machnowska jak ją nazywałem, po jakimś czasie, kiedy poznała nas lepiej, opowiedziała nam swoje dzieje. Pochodziła z Ukrainy i jak wielu Ukraińców, których nie zabił głód i bandy Dzierżyńskiego spod znaku Czecha, została deportowana do Kazachstanu. Poza Kazachami tu wszyscy są zesłańcami, albo ich potomkami – powiedziała. Za cara, jako młoda jeszcze dziewczyna, pracowała w dużym majątku ziemskim. Nigdy nie brakowało jej niczego, a teraz...

Z domu mieliśmy parę kroków do rzeki. Nasz lewy brzeg był wysoki i nad wodę schodziło się stromą ścieżką biegnącą ukosem w dół po urwistym zboczu. Przeciwległy brzeg był niski. Chobda okazała się dla nas wielkim dobrodziejstwem. Do niej schodziło się czerpać wodę na wszystkie domowe potrzeby, w niej myliśmy się, praliśmy, zmywaliśmy naczynia. Upały, które tam stale latem panowały, nie były tak dokuczliwe, bo kilka, a nawet kilkanaście razy dziennie można było zażyć w niej orzeźwiającej kąpieli. I jeszcze jedno – była niezwykle rybna. Ja ryb nigdy nie jadłem. Od małego. Wielu może wydać się to dziwne, ale tu w Kazachstanie, mimo iż głód był naszym nieodłącznym towarzyszem, nie zdobyłem się na to, aby go zaspokoić rybami. Za to reszta rodziny uzupełniała niedostatki w zaopatrzeniu tym, co udało mi się złowić.

W domu nikt nie był amatorem wędkowania, więc nie miałem wzorca do naśladowania. Tu zacząłem to robić po raz pierwszy, i przyznam, że miałem przy tym wielką frajdę. Powód był prosty. Na branie nigdy nie trzeba było długo czekać, a świadomość, że wydatnie pomagam rodzicom i dziadkom, czyniła mnie we własnych oczach prawie dorosłym mimo moich czternastu lat. Nauczyłem się różnego sposobu łowienia ryb: na wędkę, przy pomocy zaostrzonego metalowego pręta (namiastka ościenia) i wreszcie przy użyciu pułapkowego narzędzia połowowego, które tam nazywało się *morda*. W żadnym słowniku nie znalazłem odpowiednika tego wyrazu. Chociaż akcent w nim pada na samogłoskę „a”, to Polacy zawsze akcentowali, zgodnie z zasadami polskiej fonetyki, drugą od końca sylabę, a więc w tym wypadku samogłoskę „o”, co prowadziło do niewłaściwych skojarzeń.

Mordę wypłatało się z wikliny, której na szczęście nie brakowało nad brzegami Chobdy. Ja doszedłem do takiej wprawy, że mordy mojego

wyrobu uważane były za jedne z najlepszych, jeżeli nie najlepsze, w całej Dżireń-Kupie. Wyglądem morda przypominała jeden segment żaka, a może bardziej naszą polską wierszę, którą także wykonywano z wikliny.

Mieszkaniec jednej z podłomżyńskich wsi nauczył mnie wyplatania wiklinowych koszy, takich jak używanych u nas do zbierania kartofli w czasie wykopków. Ciekawe, że w Kazaszkach nie wzbudzały one żadnego zainteresowania, natomiast Rosjanki, jedna przez drugą, składały mi na nie zamówienia. Za koszyk dostawałem bochenek chleba, a chleb pieczony przez nie z pszennej razowej mąki był pyszny, pulchny, dobrze wypieczony, nie to co ten sowchozowy gniot kupowany w sklepie na kartki. „Dawali” po 500 g na osobę pracującą i 200 g. na niepracującą czyli *izdiwiencia* – osobę będącą na utrzymaniu. Bywało, że w ogóle go nie dostawaliśmy i przydział przepadał.

Oprócz *mord* i koszy wykonywałem również. beczki z sitowia, w których można było przechowywać zboże. Z liści sitowia skręcałem powrósto o średnicy 20-30 mm, zwiniałem na kształt ślimaka łącząc poszczególne zwoje wikliną. Tak powstawało dno. Wysokość w zależności od potrzeby mogła być różna. U nas w niektórych wsiach wykonywano podobne naczynia ale ze słomy. Można je jeszcze spotkać w muzeach rolnictwa, małych muzeach regionalnych, w skansenach.

W końcu października „wybuchła” zima. Później przekonaliśmy się, że w tej części Kazachstanu praktycznie nie ma wiosny i jesieni. Przejście od zimy do lata i odwrotnie trwa najwyżej kilkanaście dni. Teraz też od razu zaczęły się mrozy i zawieje. Gorsze od zimy było to, że nasz dziadek poważnie zachorował. Codzienne przechodzenie do pracy w bród przez zimną już Chobdę przy jego 67 latach zrobiło swoje. Tutejsza lekarka – Niemka – Derksen, którą z Powoźża przesiedlili po wybuchu wojny do Dżireń-Kupy, nie była w stanie nic pomóc. Nie miała do dyspozycji żadnych potrzebnych leków. Tragedia nastąpiła w 23 rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości – 11 listopada. Późnym wieczorem dziadek jako pierwszy z dżireń-kupińskich zesłańców oddał ducha Bogu. Babcia również nie wytrzymała warunków w jakich przyszło nam żyć i w dwa lata później 2 października 1943 roku mając 64 lata rozstała się z tym światem.

My musieliśmy żyć dalej, mimo wszelkich przeciwności losu, podtrzymywani na duchu nadzieją, że prędzej czy później wrócimy do Polski. Jednak 2 lutego 1942 roku dotknęło nas kolejne nieszczęście. Tego dnia podczas pracy ojciec uległ bardzo poważnemu wypadkowi. Jego przebieg opisuje w swym zeznaniu z 22 października 1942 roku traktorzysta Zakien Irmuchanow – Kazach. Był naocznym świadkiem, a po części sprawcą wypadku. Pracował z ojcem przy remoncie traktora. Z głowicy silnika wykręcił świecę, a mechanik kazał ojcu przepalić ją przy pomocy lampy lutowniczej. Ojciec nachylony był nad silnikiem i w tym czasie Irmuchanow, nie wiedząc czemu zakręcił korbą. Nastąpił wybuch

mieszanki, która osmalila ojcu całą twarz. W następstwie tego wypadku nastąpiła utrata wzroku.

Od początku 1942 roku zaczęły dziać się rzeczy, które były następstwem umowy Sikorski – Majski. Zaczęły dochodzić wiadomości o organizującej się w Buzułuku, Tatiszczewie i Tockoje Armii Polskiej. Odnajdywały się rodziny. Dzięki temu, że ich synowie służyli w Armii Andersa, dwóm rodzinom spośród naszej społeczności udało się opuścić Dżiren-Kupę i wyjechać później do Iranu. Kiedy 14 marca przyjechał do wsi pierwszy wojskowy, dla Polaków ten dzień stał się wielkim świętem. Każdy chciał zobaczyć polskiego żołnierza, dotknąć jego munduru, nacieszyć się widokiem orzełka na czapce.

18 lutego otrzymaliśmy po raz pierwszy amerykańską pomoc. Nie wiele tego było wobec naszych potrzeb, ale świadomość, że są kraje, a w nich ludzie, którzy o nas wiedzą i o nas pamiętają, którzy chcą ulżyć naszej doli, znacznie podniosła nas na duchu. Oprócz darów rzeczowych rodziny wojskowych, rzadziej inne, otrzymywały od czasu do czasu zapomogi pieniężne, których wysokość oscylowała wokół kwoty 150 rubli, co przy bazarowych cenach było kwotą symboliczną.

Zwykle na przełomie marca-kwietnia dzikie kaczki zaczynały składać jaja. Przemierzałem wtedy step w różnych kierunkach robiąc nieraz wiele kilometrów, a gdy zbliżałem się do gniazda, kaczka z łopotem skrzydeł zrywała się spod moich nóg. Czasem jeszcze nic w nim nie było, a czasem znajdowałem kilka lub nawet kilkanaście jaj. Jeżeli w czasie transportu któreś pękło, wypijałem je. Nic nie mogło się zmarnować. Niestety takie wybieranie jaj trwało krótko, bo później trafiały się już tylko zależone i nie nadawały się do spożycia.

Od chwili wywiezienia nikt z pełnoletnich Polaków nie miał żadnego dokumentu tożsamości. Dopiero na początku maja przywieźli dawno zapowiadane *udostowierienija* (zaświadczenia), ale NKWD rozdało je dopiero 14 maja. Ja jako niepełnoletni zostałem wpisany do zaświadczenia mamy.

Przy Armii Polskiej, która znajdowała się już w Uzbekistanie, utworzono organizację młodzieżową „Junacy”. Łącznie z ochotniczkami z Pomocniczej Służby Kobiet tworzyła pokaźną grupę około 4500 młodych ludzi. O tej organizacji dowiedzieliśmy się z pisma otrzymanego z Aktiubińska, w którym zachęcano, aby kilkunastoletni chłopcy zgłaszali swój akces do niej. Rodzice zdecydowali, że mam jechać. Oprócz mnie zgłosiło się jeszcze dwóch chłopaków. Po wielu perypetiach udało nam się dotrzeć do Przedstawicielstwa Ambasady Polskiej w Aktiubińsku, skąd nas i innych chłopców miał zabrać do Jangi-Jul, miasteczka leżącego na południe od Taszkientu, jakiś polski wojskowy. Okazało się, że zgłosiliśmy się za późno. Kapral Ostrouch (tak nazywał się ów wojskowy) wyjechał przed dwoma dniami z grupą nastolatków. Pani z Przedstawicielstwa kazała nam zgłosić się do NKWD, gdzie mieliśmy otrzymać przepustki. Tam zwodzono nas dwa dni zanim nam je wydano. Jeszcze jeden dzień zajęła, według tamtejszej nomenklatury, obróbka sanitarna.

My to nazywaliśmy odwyszalnią. Dopiero zaświadczenie z punktu dezynfekcyjnego i przepustka uprawniały do nabycia biletów. Po wielogodzinnym staniu w kolejce kupiliśmy je i wkrótce pociągiem Moskwa – Taszkient ruszyliśmy w drogę.

Gdzieś za Aralskiem wsiadł do naszego wagonu jakiś w średnim wieku Kazach ubrany w barwny chałat i w *tiubitiejce* (czapeczce bez daszka) na głowie. Miał ze sobą coś długiego zawiniętego w płótno. Wkrótce okazało się, że to coś jest instrumentem muzycznym, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Nasz nowy współtowarzysz podróży przedstawił się jako *narodnyj artist* (artysta ludowy). Powiedział, że instrument, na którym gra, nazywa się *dombra*. Jego owalny korpus przypominał nieco korpus mandoliny, ale był bardziej płaski, natomiast szyjka była wąska i bardzo długa, zakończona płytą kołkową z zaledwie dwoma kołkami napinającymi dwie struny. Dopiero wiele lat później, w Polsce, dowiedziałem się, że *dombra* należy do bardzo licznej rodziny tzw. lutni długoszyjkowych wywodzącej się z Azji Centralnej. Kazach jechał z nami kilkaset kilometrów i długi czas umiłał nam podróż śpiewem przy wtórze *dombry*. Muzyka nie przypominała w niczym tej, do której byliśmy przyzwyczajeni. Wprawdzie słyszałem już nieraz, jak śpiewali Kazachowie, wśród których żyliśmy, ale ich śpiew wydawał się bardziej prymitywny. A może byłem zasugerowany tym, że to śpiewa artysta ludowy?

Od miasta Kazalińsk trasa biegła wzdłuż Syr-Darii, najdłuższej rzeki w Azji Środkowej. Po prawej stronie za rzeką rozciągała się pustynia Kara-Kum, ale i po naszej stronie bardziej przypominał pustynię niż step. Zdziwiła nas duża liczba lśniących w słońcu jeziorek, jednak ktoś z pasażerów wytłumaczył nam, że to lśni nie woda, a sól. Były to tak zwane solonczaki. Dopiero po przejechaniu kilkuset kilometrów oddaliliśmy się od rzeki.

Pierwszego września po południu dotarliśmy do Taszkientu, a wieczorem do stacji Kaufmanskaja, skąd do Jangi-Julu trzeba było jeszcze przejść kilka kilometrów pieszo. Czekająca nas jednak nie była niespodzianka. Napotkani przed dworcem polscy Żydzi poinformowali nas, że w Jangi-Julu nie ma już wojska, że wszyscy wraz z całym sztabem są już w pociągu, którym wkrótce odjadą do Krasnowodzka i dalej przez Morze Kaspijskie do Iranu. Niestety mieliśmy pecha. Wprawdzie przy jednym z peronów znaleźliśmy pociąg, ale z będącego już w ruchu wyrzucił nas – to nie do pojęcia – polski plutonowy! Do dziś mam przed oczami obraz żołnierza ubranego w *battle-dress* (mundur polowy), z trzema belkami na naramiennikach (tyle belek miał wtedy plutonowy) i naszywką POLAND na rękawie, wymyślającego nam po rosyjsku, chociaż tłumaczyliśmy po polsku, kim jesteśmy i w końcu wykopującego nas (dosłownie) z wagonu na peron.

Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy wracać na gapę. Przepustek nie mieliśmy, biletów nie mogliśmy, i nie mieliśmy za co kupić, bo na dworcu, na oczach tłumu ludzi, obrabowała nas banda *biesprizornych* (bez

opieki) wyrostków. Jedno co mieliśmy, to około 1700 km do przebycia. Korzystaliśmy z różnych pociągów: towarowych, cystern, osobowych. Byliśmy wielokrotnie przeganiani, obrzucani kamieniami, obdzielani kopniakami, ale uparcie posuwaliśmy się na przód. Kilka wydarzeń z tej podróży szczególnie utkwiło mi w pamięci. Na którymś z kolejnych odcinków jechaliśmy na stopniach wagonu pociągu osobowego. Na stopniach sąsiedniego wagonu, ze względu na upał panujący we wnętrzu, jechało kilku sowieckich żołnierzy. Zajadali arbuzy i melony. Nam ślinka ciekła na ten widok, a oni pewnie dostrzegli w naszych oczach pożądliwość, bo któryś z nich spytał:

– *Czto riebiata, golodnyje?* (– Co chłopcy, jesteście głodni?)

Kiwnęliśmy twierdząco głowami. Zawołali nas do siebie i obdarowali kilkoma dorodnymi owocami. W ciągu kilku minut znalazły się w naszych pustych żołądkach. Wraz z częściowym zaspokojeniem głodu przyszła refleksja. Tam polski żołnierz wyrzuca nas z jadącego pociągu, a tu sowiecki wyciąga rękę, dzieląc się tym co ma. Kompletne przewartościowanie pojęć. Słowa „braterstwo”, „przyjaciół”, „wróg” nabierają zupełnie innego znaczenia. Załamuje się wiara w to, co uważało się za święte. Chaos w głowie, chaos w sercu.

Na którejś stacji, kiedy też osobowy pociąg ruszał, przeskoczyliśmy płotek oddzielający teren kolejowy i wskoczyliśmy do pulmana. Staaliśmy w wejściu. Pociąg już pędził, kiedy z korytarza wyszedł sowiecki major. Odniósł się do nas całkiem przyjaźnie. Wypytał o okoliczności, które skłoniły nas do takiego sposobu podróżowania, o cel podróży, a jednocześnie ostrzegł, że w razie kontroli na pewno zostaniemy wyrzuceni. Dodał z nutką dumy w głosie, że w 1940 roku był w Warszawie, i że Warszawa bardzo mu się podobała. Wyszedł, ale za chwilę wrócił prowadząc młodą kobietę w mundurze konduktora. Powiedział jej kim jesteśmy i poprosił, aby się nami zaopiekowała. Pokazała nam swój służbowy przedział. Tam mieliśmy się schronić, gdyby pojawiła się kontrola. Opuścili nas, ale major znów wrócił niosąc bochenek chleba.

– Jedzcie na zdrowie – powiedział – pewnie jesteście głodni.

Znów wracają wspomnienia z Jangi-Julu, znów jawi się obraz plutonowego, znów nasuwają się porównania i znów mętlik w głowie.

Mimo takiej protekcji kilkusobowa kontrola zaskoczyła nas. Wchodzili z dwóch stron wagonu uniemożliwiając ucieczkę. W ten sposób wyłapywali *biesprizornych* i uchylających się od służby wojskowej, i dezertów, którzy podobno też się trafiali. Kiedy przyjechaliśmy na stację, było całkiem ciemno. Zaprowadzili nas do budynku, w którym mieściło się NKWD. Na piętrze na korytarzu aż gęsto od takich jak my. Spędziliśmy tam noc, a na drugi dzień dopiero koło południa zaczęli wzywać zatrzymanych przed oblicze jakiegoś naczelnika. Niektórych wypuszczali, innych wyprowadzali pod strażą.

Było całkiem późno, kiedy przyszła kolej na nas. Każdemu, po krótkim przesłuchaniu, *grazhdanin naczalnik* (obywatel naczelnik) nakazał w ciągu 24 godzin zameldować się w Aralsku i podjąć pracę, albo wynosić się stąd. Kiedy po wyjściu zastanawialiśmy się, gdzie można spędzić noc, wypuścili następnego zatrzymanego – niewiele starszego od nas Rosjanina. Zaproponował, abyśmy poszli na dworzec, gdzie będzie łatwiej znaleźć miejsce na nocleg. Po drodze natknęliśmy się na jakiegoś kolejarza, który niósł kilka bochenków chleba. Nasz nowy kolega zaczął go:

– *Diadia! Prodaj chleba* (– Wujku! Sprzedaj chleba).

Odpowiedział, że nie sprzedaje, ale może na coś wymienić. Nasz Rosjanin zapytał, czy może być koszula. Zdziwiliśmy się, bo nic w rękach nie miał. Kiedy kolejarz przystał na propozycję, chłopak zdjął marynarkę i ściągnął koszulę z grzbietu, a marynarkę włożył na gołe ciało. Dostał za to dwa bochenki chleba. Poszliśmy dalej. Przed dworcem na placyku stała trybuna wykorzystywana pewno w czasie bolszewickich świąt. Od tyłu była na wysokości około metra obita deskami, ale z jednej strony brakowało kilku, więc przez otwór wślizgnęliśmy się pod podłogę. Wspaniałe miejsce na nocleg, ale jeszcze wspanialsze było to, że nasz towarzysz rozdzielił chleb sprawiedliwie, każdemu po równo, tak jakbyśmy wnieśli jakiś wkład w jego zdobycie. Niesamowite! Jak solidarny może być człowiek! Jak prawdziwie ludzki! Do dziś na to wspomnienie odczuwam wielki szacunek dla niego i wielką wdzięczność.

O świcie poszliśmy jeszcze do portu, aby popatrzeć z bliska na to olbrzymie jezioro nazywane tu Aralskim Morzem. Wtedy jeszcze jego powierzchnia wynosiła ponad 66 tys. km². Zasilane było głównie wodami dwóch wielkich rzek Amu-Darii i Syr-Darii. Stalinowska polityka przeobrażania przyrody sprawiła, że z powierzchni Uzbekistanu, Turkiestanu i południowej części Kazachstanu zniknęły wszelkie uprawy. Zastąpiono je monokulturą bawełny. Do sztucznego nawadniania korzystano w sposób rabunkowy z wód obu dopływów. Doprowadziło to do tego, że od lat 70 Syr-Daria nie dociera do jeziora ginąc w piaskach pustyni, a Amu-Daria dociera tylko okresowo. Jezioro gwałtownie wysycha i w końcu lat 90 jego powierzchnia skurczyła się do 33 tys. km². Aralsk, podobnie jak leżący na południu Mujnak i inne mniejsze miasta, przestał być portem i ośrodkiem rybołówstwa. Wszystkie teraz leżą na pustyni dziesiątki kilometrów od brzegu.

Tu pożegnaliśmy naszego rosyjskiego przyjaciela. Miał inne plany i nie zamierzał jechać z nami na północ. Nam wkrótce udało się złapać pociąg jadący w naszym kierunku, ale jeszcze kilkakrotnie musieliśmy się przesiadać na inne. Ostatni etap z Aktubińska do Sol-Ilecka przejechaliśmy niemal w komfortowych warunkach. Konduktorka pozwoliła nam ulokować się w przedziale obok innych pasażerów. Jechaliśmy nocą i dziwiła się, że wymienialiśmy kolejne miasta zanim do nich dotarliśmy: Martuk, Jajsan, Akbułak i wreszcie Sol-Ileck. Tu poczuliśmy się jak w

domu. Ponieważ jeszcze nie świtało, poszliśmy do domu noclegowego naszego sowchozu i na podłodze przespaliśmy się do rana, po czym nie zwlekając ruszyliśmy pieszo w dalszą drogę.

Niespełna dziesięć kilometrów na południe od Sol-Ilecka płynie Ilek. Przebyliśmy go w bród (mostów w takich miejscach nie było) i znaleźliśmy się wśród *bachczy* ciągnących się po obu stronach drogi. *Bachcza* to pole w stepie zasiane arbuзами i melonami. W tamtych stronach często spotykało się takie *basztany* w pobliżu wsi zamieszkałych przez Rosjan lub Ukraińców. Kazachowie tego typu uprawami się nie zajmowali. Wielkie kule owoców widać było z daleka, ale co kilkaset metrów stały szafasy i kręcili się strażnicy. Mimo to udało się nam podkraść tyle arbuзów i melonów, że zaspokoiliśmy i głód i pragnienie.

W Dżireń-Kupie również był taki basztan, na który robiliśmy nieraz nocne wyprawy. Czołgaliśmy się po plantacji, bo też była pilnowana, a zerwane owoce ładowaliśmy do worków ciągniętych za sobą. Mieliliśmy chyba dużo szczęścia, bo nie pamiętam, aby nas kiedykolwiek na tym procederze przyłapano. Pod wieczór ukazały się w oddali zabudowania wsi. To dodało sił naszym zmęczonym całodziennym marszem nogom. Jeszcze przyśpieszyliśmy kroku i po przekroczeniu w bród Chobdy rozeszliśmy się każdy do swego domu.

Pierwszą spotkałem mamę.

– Synku kochany! To ty? – Zawołała z niedowierzaniem. Uściskom, całusom i łzom nie było końca. Podobnie wyglądało powitanie z babcią i ojcem. Zdziwienie moim powrotem było tym większe, że akurat wczoraj otrzymali mój list wysłany z drogi do Jangi-Jul. Musiałem oczywiście streścić cały przebieg naszej eskapady, a przy okazji dowiedziałem się, że jest już 10 września. W podróży, licząc od wyjścia z Dżireń-Kupy byliśmy ponad trzy tygodnie. W tym czasie przejechaliśmy i przeszliśmy prawie 4 tys. kilometrów.

23 września, licząc na pewną poprawę warunków, przenieśliśmy się do kołchozu Brusilówka leżącego 12 km na północ od Dżireń-Kupy. Jak na tamtejsze warunki był to dosyć bogaty kołchoz. Każda rodzina miała jakąś krowinę, parę owiec trochę kur, gęsi, a nad rzeką niewielki spłachetek ziemi, coś w rodzaju ogródka przydomowego, albo działki. Tu urwały się niemal wszystkie moje kontakty z Kazachami, bo mieszkańcami wsi byli w większości Rosjanie i Ukraińcy, do których kulturowo było nam wszystkim znacznie bliżej niż do Kazachów.

Tu jednak miałem okazję zobaczyć, jak Kazaszki wyrabiały z mleka swoje narodowe specjały: *irumszik* (akcent na ostatniej sylabie), *sarsę* i *kurt*. Zobaczyć, ale i spróbować. Gospodynie w żeliwnym kotle bardzo długo gotowały mleko. Nie wiem, czy dodawały coś do niego, ale raczej nie. Po jakimś czasie wytrącał się twaróg. Wybierały go na matę i suszyły na słońcu. Jego kawałki miały kształt poskręcanych uszek koloru ja-

snobrazowego, a smak słodkawy. Był to *irumszik*. Kazachowie często pogryzali go popijając herbatę.

Pozostała serwatka była nadal gotowana, aż po odparowaniu pozostawała na dnie gęsta, brązowa papka. *Marża* (żona, a bardziej ogólnie – kobieta) lepiała z niej okrągły placuszek średnicy około 10 cm o grubości około 2 cm, i wkładała go do wyschnięcia najczęściej na dach chaty. To była *sarsa*. Trudno po tylu latach dokładnie określić jej smak, ale na pewno była gorzko – kwaśno – słodka. Kiedyś przechodząc koło jakiejś lepianki zauważyłem dwie suszące się *sarsy*. Ślina gwałtownie napłynęła mi do ust, a żołądek burczeniem dopominał się o napełnienie go. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Podkradłem się, chwyciłem obie i popędziłem w step, aby je w spokoju skonsumować. Na moje szczęście nikt nie zauważył kradzieży i nikt mnie nie gonił. Jak bardzo mi wtedy smakowały! Aby zrobić *kurt* mleko należało mocno przekwasić i twaróg z niego powiesić w worku do odsączenia serwatki. Do bardzo kwaśnego i niezbyt zachęcająco pachnącego dodawano nieco mąki, wyrabiano i formowano bryłki wielkością i kształtem zbliżone do naszych małych oscypków, a następnie rozkładano do wysuszenia. Poza kwaśnym smakiem *kurt* odznaczał się mało przyjemnym zapachem. Moja cioteczna siostra – Alusia – nieraz wspomina te wyroby, bo jako mała dziewczynka często była nimi ugaszczana przez Kazaszki litujące się nad stale głodnym dzieckiem. Do dziś zresztą czuje wdzięczność do tych nieznanych kobiet.

Życie w Brusilówce miało pewne plusy, ale i poważne minusy. Zresztą wszędzie sytuacja Polaków po wyjeździe Armii gen. W. Andersa do Iranu uległa pogorszeniu. Zaczęły się represje, odebrano nam *udostowierienija*, zmuszono do przyjmowania sowieckich paszportów, a tym samym sowieckiego obywatelstwa, wiele osób aresztowano. W końcu marca 1943 r. pan Stanisław Polak, który uczył nas w funkcjonującej zaledwie trzy miesiące szkółce, mój przyjaciel Zbyszek Pieńkowski i ja dostaliśmy wezwanie do Chobdy w celu stawienia się przed komisją poborową. Zawiózł nas Kazach saniami zaprzężonymi w wielbłąda. Pana Stanisława, podobnie jak wielu innych, zatrzymali, a mnie i Zbyszka zwolnili. Wracaliśmy do domu około 120 km pieszo już w czasie trwających roztopów. Pan Stanisław był podobno w tak zwanym batalionie pracy gdzieś pod Moskwą, skąd uciekł, ale został złapany i wszelki ślad po nim zaginął.

My ze Zbyszkiem pierwszego dnia pod wieczór napotkaliśmy dwie bazy, w których trzymano bydło, a w wydzielonych kilku małych izdebkach mieszkali Kazachowie. W pierwszej bazie nie chciano nas przyjąć i jeszcze poszczuto psami, natomiast w drugiej samotna Kazaszka, nie dość, że pozwoliła przenocować, to jeszcze udzieliła jakiejś nędznej strawy – podzieliła się tym, co miała i podtrzymywała całą noc ogień susząc naszą przemoczoną odzież. Spaliśmy na polepie przy glinianym piecu, ale w ścianie były szpary i przez noc nawiało na nas nieco śniegu. Gospodyni, to słowo brzmi jak tytuł arystokratyczny przy jej widocznej miserii, uzałowała się, że jest sama, bo jej syna zabrali do wojska i być może

na froncie ponieważ się gdzieś tak jak my. Byliśmy ogromnie wdzięczni za jej dobre serce, bo gdyby nie ona przyszłoby nam spędzić noc na dworze, albo wcisnąć się cichaczem między krowy.

Dalsza droga była drogą przez mękę. Gwałtownie topniejący śnieg sprawił, że każdy jar zamienił się w rwący potok, a małą latem rzeczkę Tumanczę, lewy dopływ Bolszój Chobdy przechodziliśmy po spiętrzonych krach tworzących zator. Wróciliśmy do domu w opłakanym stanie. 24 maja dziewięcioro Polaków zostało zmobilizowanych na *trudowej front* czyli tak zwany front pracy (coś w rodzaju hitlerowskich robót przymusowych). Wśród tej dziewiątki znalazł się Zbyszek i ja. Mobilizacja odbywała się na takiej zasadzie, że kolchozowi nakazywano wysłać na front określoną liczbę osób. Przewodniczący chroniąc swoich kierował Polaków. Podczas całego mego pobytu w Brusilówce ani razu nie zdarzyło się, aby zmobilizowano kogoś z Rosjan. Zawieźli nas siedem kilometrów na zachód od Sol-Ilecka i wysadzili przy torze kolejowym, na którym stał pociąg złożony z wagonów towarowych. Okazało się, że to ma być nasz hotel robotniczy. Miejsce to według oficjalnej nomenklatury nazywało się Kolonna nr 3 (Kolumna nr 3). Byliśmy na budowie linii kolejowej łączącej Sol-Ileck przez Aksaj z Uralskiem. Przeglądając starsze mapy można stwierdzić, że takiej linii nie ma, natomiast na mapach powojennych jest. Musiała zatem powstać w czasie wojny, a my ją budowaliśmy.

Praca była niesłychanie ciężka. Wszystko wykonywano ręcznie: wykopy, wynoszenie ziemi, układanie podkładów i szyn. Żadnej mechanizacji. Dla mnie, wówczas szesnastolatka, przy głodowych racjach żywnościowych, była to praca zabójcza. Po trzech tygodniach w niedzielę 13 czerwca uciekłem. Zbyszek uciekł dwa tygodnie po mnie, a jakiś czas po nim dwie siostry Stasia i Jadzia Bronowiczówny. Wszyscy początkowo ukrywaliśmy się nie wychodząc w dzień z domów. Tajemnicą pozostaje fakt, że Zbyszek i ja nie znaleźliśmy się w sferze zainteresowań NKWD i nie doznaliśmy żadnych represji. Starsze od nas siostry wytropili i postawili w Aktiubińsku przed trybunałem wojennym oskarżając je o dezercję. Stasię skazano na pięć lat więzienia, Jadzię na pięć lat przymusowych robót. Pierwszą wywieziono do Taszkientu, a następnie przerzucono do Czymkientu, gdzie na skutek pracy ponad siły i głodu zmarła w 1944 roku. Jadzia jakiś czas pracowała w Aktiubińsku, a gdy mieli ją wysłać na północ w tajgę, jeszcze raz zaryzykowała i znów uciekła. Pół roku ukrywała się w Brusilówce, a następnie cichaczem przeniosła się do Dżireń-Kupy.

Jakiś czas potem znów otrzymałem wezwanie na *trudowej front*. Tym razem nawet napisali, gdzie będę skierowany. Był to Niżnyj Tagił, miasto położone około 1000 km na północ od Czkałowa, jeszcze za Czełabińskiem i Swierdłowskiem, w Środkowym Uralu. Jest to jeden z najstarszych ośrodków górniczych na Uralu liczący sobie ponad dwa wieki, z rozwiniętym przemysłem hutniczym, maszynowym i innymi. Było oczywiste, że stamtąd nie będzie dla mnie powrotu. Postanowiłem uciekać z Brusilówki zanim mnie wywiozą.

Z sowchozów, jako przedsiębiorstw państwowych, nie mobilizowano ludzi na front pracy, w przeciwieństwie do kolchozów, które teoretycznie były niepaństwowe i miały „przywilej” dostarczania taniej siły roboczej instytucjom państwowym. Najbliżej miałem do Dżireń-Kupy i tam postanowiłem wiać. W końcu września przenieśli się z Brusilówki rodzice z babcią. Zamieszkaliśmy w bardzo dużej izbie w budynku przypominającym bazę dla bydła, ale częściowo znajdującym się poniżej poziomu gruntu. Dwa okienka takie jak w wagonie towarowym znajdowały się niemal pod sufitem, a rozmieszczone były po przekątnej izby. To od strony drogi umożliwiało obserwowanie tylko nóg poniżej kolan osób przechodzących obok domu. Tu drugiego października kolejny cios dotknął naszą rodzinę. Po krótkiej chorobie zmarła babcia. Z pięciorga wywiezionych zostało nas już tylko troje.

Wkrótce nadeszła kolejna, trzecia już zima na zesłaniu. Żadne wróżby wieszczące szybki koniec wojny i powrót do Polski nie ziściły się. Jednak każda pomyślniejsza wiadomość ożywiała na nowo nasze nadzieje. Bitwę pod Stalingradem, bitwę pod Kurskiem, a nawet powstanie Związku Patriotów Polskich przyjmowaliśmy jako kolejne etapy przybliżające koniec naszej tułaczki.

Wzorem poprzednich lat przygotowaliśmy już wcześniej pryzmę *kiziaku* i stertę opału roślinnego, w którym przeważał tak zwany *katun*. Nie znalazłem nigdzie odpowiednika polskiego tego słowa. Na stepie roślina ta przyjmuje kształt kuli. Po wyschnięciu ma kolor żółtopomarańczowy. Każdy silniejszy podmuch wiatru odrywa ją od ziemi i toczy po stepie. Stąd nazwa *katun*, bo *katitsia* znaczy tyle, co toczyć się. Łapaliśmy takie toczące się kule, ugniataliśmy w wiązki i nosiliśmy na plecach pod dom układając stertę. Do wyciągania ze sterty służył *diorgacz*. Można by to przetłumaczyć jako szarpacz (*diorgat* – szarpać, targać, wrywać). Był to pręt metalowy zakończony z jednej strony jak harpun, a z drugiej wygięty na kształt uchwytu. Wbijało się go w stertę i wyszarpywało z niej pęczki opału. Poza *katunem* mógł to być burzan, mogła być trzcina lub cokolwiek innego. Wszystkie te rodzaje opału wymagały stałego podkładania. Aby cokolwiek ugotować, trzeba było spalić ogromne jego ilości. Kuchnie miały odpowiednio duże drzwiczki, przez które jedna osoba pilnująca ognia musiała co chwila dokładać świeżą porcję. *Kiziak* był znacznie lepszym opalem o kaloryczności zbliżonej do kaloryczności torfu.

Na początku grudnia jeden z brygadzystów powiedział mi, że mam popędzić tabun koni do leżącego mniej więcej w połowie drogi do Chobdy sowchozu Akrab. Dostałem delegację ważną pięć dni i dziewiątego grudnia o świcie ruszyłem z ponad dwudziestką koni w drogę. Mróz był siarczysty, na pewno dużo poniżej -20°C . Nie miałem walonek a ojca buty z cholewami, nie zabezpieczały zbyt przed takim mrozem. Zrobiło mi się zimno w nogi, więc zacząłem nimi uderzać o boki konia, próbując je w ten sposób rozgrzać. Rzeczywiście po jakimś czasie przestałem

odczuwać chłód. Pod wieczór dotarłem do sowchozu. Jakiś pracownik biurowy oznajmił mi, że konie mam popędzić jeszcze kilkanaście kilometrów dalej, do którejś fermy, jednak ze względu na zapadający zmierzch kazał mi się ulokować z moim stadem na noc w bazie. Umieściłem koniki przy żłobach, nakładłem im siana, a sam umościłem sobie w jednym z tych żłobów posłanie i ułożyłem się do snu.

Następnego dnia nim dotarłem na miejsce, znów zaczął zapadać zmierzch. Zimą to naturalne. Ferma składała się z kilku nędznych lepianek. W jednej z nich, w maleńkiej izdebce, mieszkał samotny stary Kazach, któremu przekazałem stado. We wnętrzu panowało przyjemne ciepło, więc rozebrałem się, podczas gdy on poszedł gdzieś ulokować konie. Gdy wrócił zaparzył herbatę, zrobił coś do jedzenia, po czym pokazał, w którym miejscu na podłodze będę spał. Od wyjazdu z domu był to mój pierwszy ciepły posiłek. Siadłem na posłaniu i zacząłem ściągać buty. Czułem, że coś jest nie w porządku z moimi nogami. Gdy zdjąłem skarpetki zobaczyłem, że lewa stopa od małego palca po piętę jest czarna. Niewiele lepiej wyglądała prawa. Kazach na to wykrzyknął:

– *Oj purmaj, kutuk Żumabaj!* – Okrzyk zdziwienia i przerażenia, coś w rodzaju naszego „O rany Julek!”, a Żumabaj to kazaskie imię męskie.

– *Propal noga!* – dodał, czyli nogi przepadły.

Tu należy wyjaśnić, że z reguły starzy Kazachowie, chociaż i część młodszych, źle mówili po rosyjsku. Przypominało to mowę sienkiewiczowskiego Kalego z *W pustyni i w puszczy*: „Kali powiedzieć, Kali zrobić itp.”.

Położyłem się, ale wkrótce nogi zaczęły odmarzać. Ból niesamowity. Powstrzymałem się całym wysiłkiem woli, żeby nie wyć. Po jakimś czasie ból zelżał na tyle, że trochę się zdrzemnąłem. Było jeszcze ciemno, kiedy gospodarz zaczął się krzątać. Miał jechać do centrali i chciał tam być możliwie wcześniej. Zapalił kopcikę – buteleczkę wypełnioną naftą z osadzonym w niej knotem. Przy jej nikłym blasku zobaczyłem, że nogi nie dość, że są czarne to jeszcze spuchnięte i porobiły się na nich bąble wypełnione krwawą cieczą. Skarpetki jakoś wciągnąłem, ale każda próba włożenia buta powodowała znów okropny ból. Wyszedłem w skarpetkach na dwór, siadłem na znajdującej się przed chatą ośnieżonej przyzmi nawozu i ponowiłem próbę. Łzy ciekły mi jak groch.

Udało mi się z wielkim trudem i w wielkim bólu wsunąć nogi tak, że pięty znajdowały się nad napiętkami. Podobny układ stopy mają panie chodzące w pantoflach na bardzo wysokich obcasach. Wgramoliłem się jakoś na konia i ruszyliśmy – Kazach na przedzie saniami, ja za nim. Wiał dosyć silny wiatr i prószył śnieg. Wkrótce zaczęło świtać. W Akrabie pożegnałem go serdecznie, podziękowałem za gościnę, jakiej mi udzielił i dalej pojechałem sam. Za Akrabem wiatr dał już bardzo mocno i sypał gęsty śnieg. Prawdziwy *buran* (zameć śnieżna). Tu w Kazachstanie można go chyba porównać tylko z syberyjską *purgą*. Bywa tak, że nie da się dojrzeć nawet własnej wyciągniętej dłoni.

Kiedyś ojciec w czasie takiej śnieżycy wyszedł do sklepu. Mieliśmy do niego blisko, ale ojciec szedł długo na oślep zmagając się z wichurą. Szedł i szedł, a tu ani sklepu, ani żadnej chaty pozwalającej zlokalizować swoje położenie. Porządnie zmęczony natknął się na jakąś ścianę. Posuwając się wzdłuż niej dotarł do wrót. Szczęśliwie trafił na bazę. Kobiety, które tam pracowały przy krowach powiedziały, że jest w czwartej bazie. W centrali były takie cztery bazy rozstawione w jednej linii co kilkaset metrów. Czwarta znajdowała się najdalej, kilka kilometrów za wsią. To istny cud, że ojciec przypadkowo trafił na nią. Parę metrów w bok i poszedłby w niekończący się step. Nierzadkie były wypadki zabłądzenia i zamrznięcia. Człowiek przebijał się przez śnieg tracąc coraz bardziej siły. Gdy przysiadł na chwilę, aby odpocząć, już się nie podnosił. W domu bardzo niepokoił się długą nieobecnością ojca. Na szczęście *buran* wkrótce ucichł, a bywają takie, kiedy wieje kilka dni z rzędu.

Nieraz po śnieżycy wszystkie lepianki były całkowicie zasypane. Drzwi otwierały się do środka, co umożliwiało przekopanie się przez śnieg i wydostanie na zewnątrz. Mimo tragizmu całej sytuacji widok był piękny, szczególnie wcześniej rano, w jaskrawych promieniach wschodzącego słońca. Wokół, jak spojrzeć, tam gdzie stały chaty, tylko śnieżne pagórki. Z niektórych unosiły się ku błękitnemu niebu smużki dymu. To tam, gdzie komuś wcześniej udało się odkopać komin. A procedura była taka: po wydostaniu się na dwór trzeba było wejść na pagórek, czyli na dach, odszukać komin i odkopać go, aby w domu można było rozpalić ogień, a następnie ustalić, gdzie są okna i przekopać tunele w ich kierunku. Dopiero wtedy w chacie zaczynało się prawie normalne życie. Prawie, bo wkrótce wszyscy zdolni do pracy musieli wyjść i rozkopywać zaspę, aby można było dostać się do sowchozowych obiektów.

Jedną z prac, do których też zapędzano wszystkich, było tak zwane *śniegozadzierzanie*. Nie da się tego wyrazu zastąpić jednym polskim słowem, a znaczone tyle, co zatrzymanie śniegu. W stepie wiatr nie napotykając prawie żadnych naturalnych przeszkód przewiewa śnieg z miejsca na miejsce, chodziło zaś o to, aby zatrzymać go jak najwięcej, co z nadejściem ocieplenia miało zapewnić glebie dużą ilość wilgoci. Należało usypać równoległe rzędy śniegowych wałów, przy których w czasie buranu tworzyły się wysokie i długie zaspę. Było to coś w rodzaju odśnieżek stawianych u nas przy niektórych odcinkach dróg i torów kolejowych, czy inaczej płotków odśnieżnych.

Jechałem niezbyt szybko, bo nogi nie pozwalały mi utrzymywać się pewnie w strzemionach. Drogę było jeszcze widać, tym bardziej, że ktoś przede mną jechał saniami i śnieg nie zdążył zasypać śladów. Jednak bardzo szybko ślady stawały się coraz mniej widoczne i wkrótce nie wiadomo było gdzie droga, gdzie step. Wokół jednakowa biała równina i tylko wycie wiatru niosącego kłęby śniegu ograniczającego widoczność do kilku metrów. Mimo dnia panował półmrok. Gdzieś, kiedyś wyczytałem, że konie posiada-

ją nadzwyczajny instynkt i same potrafią odnaleźć drogę. W tym była moja jedyna nadzieja. Przestałem powodzić i po prostu położyłem cugle na łąku siodła zdając się całkowicie na konia.

Nie zawiodłem się na nim. Zauważyłem, że jesteśmy w kolchozie Krasnojarskim, kiedy wjechałem między chałupy. Z powodu zawiści nie sposób było dostrzec wsi z daleka. Nabrałem pewności, że nie zabłądzą w stepie, że dotrę do domu. Do Brusilówki było już blisko, a stamtąd 12 kilometrów i Dżireń-Kupa. Wydawała mi się wtedy tym jedynym, najbardziej pożądanym miejscem na ziemi. W Brusilówce zatrzymałem się przed domem, w którym mieszkali wywiezieni z nami państwo Kruszewscy. Akurat w oknie siedziały ich dwie córki – Wanda i jej starsza siostra Halina. Zapraszały mnie gestami do domu, ale ja byłem tak skostniały, że nie mogłem nawet zsunąć się z konia. Widocznie zauważyły, że ze mną jest coś nie porządku i wyszły na dwór. Zdjęły mnie z siodła i zaniósły do mieszkania. Rozebrały mnie, a kiedy ściągnęły buty, były wprost przerażone widokiem moich nóg. Stan ich był jeszcze gorszy niż wczorajszego wieczora, bo po odtajaniu w chacie Kazacha, w czasie wielogodzinnej jazdy ponownie zamarzły.

U państwa Kruszewskich przeleżałem około dwóch miesięcy. Pomocy medycznej żadnej. Panie pielęgnowały mnie, jak mogły najlepiej. Dwa razy dziennie opatrywały rozległe rany, które potworzyły mi się na nogach, a ja przecież żyłem i cały mój organizm funkcjonował normalnie ze wszystkimi jego fizjologicznymi potrzebami. Jestem dożgonnie wdzięczny całej tej szlachetnej rodzinie za to, co dla mnie zrobiła. Chyba to był już luty 1944 roku, kiedy rodzicom udało się wyprosić u dyrekcji sowchozu konia i sanie, którymi można by było przewieźć mnie z Brusilówki. Wkrótce po przyjeździe odwiedziła mnie doktor Derksen. Jedyne co mogła zrobić, to kazała moczyć nogi w roztworze *kalium hypermanganicum*. Niczym innym nie dysponowała.

Kiedy nogi zaczęły się goić, przyplątał mi się dur brzuszny, potem malaria, zapalenie płuc, tak że prawie cały 1944 rok był dla mnie pasmem chorób. Chyba Opatrzność czuwała nade mną, że z tego wszystkiego wyszedłem. W krótkich przerwach między chorobami chodziłem trochę po wsi i bliskiej okolicy, czasem do sklepu po kartkowy chleb, czasem po południu po *arian*, takie rzadkie zsiadłe mleko. Skąd *arian*? Otóż każdego roku, gdy step się zazielenił, wyruszano ze stadami bydła za Chobdę. Z reguły wyjeżdżali Kazachowie z całymi rodzinami. Mężczyźni pełniący rolę pastuchów konno, kobiety – dojarki – z dziećmi i całym dobytkiem wozami. W stepie rozbijali jurty, w których mieszkali do końca lata. Krowy dojono na miejscu, mleko odfuszczano w centrifużach, ale gdzie dalej była przerabiana śmietana, tego nie wiem. Co jakiś czas przylatywał do sowchozu mały, dwupłatowy samolot popularnie zwany kukuruźnikiem. Ładowano do niego duże, w formie prostopadło-

ścianów, bryły masła i wywożono. Dokąd? Na miejscu w sklepie nigdy go nie było.

Odtłuszczone mleko dojarki wlewały do dużej drewnianej beczki umieszczonej na wozie i zakwaszały. To był właśnie arian. Jedna z dojarek przed wieczorem przywoziła go do sowchozu. Na przyjazd beczkowozu oczekiwała zawsze spora grupa Polaków z wiadrami, bańkami i czym kto miał. Kazaszka odmierzała czerpakiem żadaną ilość *arianu* aż do opróżnienia beczki, po czym udawała się na noc do swego domu. Teraz do akcji wkraczały dzieci. Te najmłodsze wchodziły przez kwadratowy otwór w górnej części do środka i z dna i ścian wyskrobywały resztki mleka. Wychodziły, kiedy nie dało się już nic więcej wskrobać. Na to tylko czekały psy, których sporo wałęsało się po wsi i okolicy. Wskakiwały do środka i wylizywały ściany z tego, co pozostało po dzieciach. Gdy i one nie miały już nic do wylizania, opuszczały beczkę. Rano Kazaszka zaprzęgała do beczkowozu woły i wracała na step. Przejeżdżając przez rzekę zatrzymywała się na środku, wlewała parę wiader wody i jechała dalej. W czasie jazdy woda ostatecznie „wymiwała” beczkę. Po południu scena powtarzała się.

W końcu lata Kazachowie ściągali z bydłem ze stepu. Raz na jednym z wozów z tyłu zobaczyłem martwego wilka. Obok szło potężne psisko w obroży najeżonej kolcami. Okazało się, że to właśnie ta bestia zagryzła wilka, który próbował atakować krowy. Starzy Kazachowie opowiadali jak w czasach kiedy byli jeszcze wolnym narodem urządzali polowania na wilki. Kilku jeźdźców wyruszało w step. Gdy dostrzegli wilka, galopowali obok niego przez dłuższy czas. Wilk cały czas miał zwróconą głowę w ich stronę. W pewnym momencie jeźdźcy przejeżdżali na jego drugą stronę. Podobno mięśnie na wilczym karku były tak zesztyniałe, że nie mógł odwrócić głowy, a Kazachowie zabijali go uderzeniami nahajek zakończonych ołowianymi kulkami. Nahajki do jazdy konnej (*kamczi*) mieli piękne.

Zupełnie inne były bicz używane do poganiania wołów w czasie orki. Do dwuskibowego pługa zaprzęgano trzy pary wołów, po parze w rzędzie. Cały zaprzęg z pługiem miał długość 8-10 m. Aby sięgnąć pierwszej pary należało mieć odpowiednio długi knut. Składał się z kilku odcinków: pierwszy spleciony z ośmiu rzemieni, drugi z sześciu, trzeci z czterech, a zakończenie stanowił rzemień pojedynczy. Niełatwo było opanować umiejętność posługiwania się takim biczyskiem, ale za to jak pięknie, głośno się z niego strzelało!

Naszym nieodłącznym towarzyszem poza permanentnym uczuciem głodu było robactwo, szczególnie wszy. Każdy je miał i nie było sposobu, aby się ich pozbyć. W Dżireń-Kupie spotkałem się z różnymi sposobami niszczenia tych insektów. Wszedłem kiedyś do bazy, w której Kazaszki wyrzucały spod krów nawóz. W pewnym momencie jedna z nich wbiła widły w pryzmę i zaczęła palcami przebierać we włosach. Najwyraźniej coś

uchwyciła, spojrzała i włożyła do ust. Zaciśnęła zęby, po czym zaczęła ssać i wreszcie splunęła. Później dowiedziałem się, że Kazaszki uważają za rzecz zupełnie normalną odzyskiwanie w ten sposób swojej krwi wyssanej przez wesz. Wielokrotnie byłem świadkiem, jak dzieciak kazaski siedząc na ziemi przed domem „jeździł” zębami od góry do dołu po szwach koszuliny. Przypominało to zachowanie psiaka, który tak kłapie zębami szukając pcheł. Dostyc często można było spotkać iskające się dziewczyny, czy kobiety, ale okropnie wyglądało, kiedy iskająca rozgniałała wszy paznokciem na nożu, którym po wytarciu o spódnicę kroiła na przykład chleb. Latem do zwyczaju należało moczenie zimowej odzieży w rzece. Przyciskano fufajkę, czy watanę spodnie jakimś żelastwem (kamieni tam nie było) i zostawiano na dłuższy czas w wodzie. Wszy po prostu się topiły. Po takim zabiegu odzież trzepano, wieszano i suszono na słońcu czekając na następny sezon.

W ostatnich dniach października przenieśliśmy się do Sol-Ilecka. Podobnie postąpiło wiele polskich rodzin. Po utworzeniu w 1943 roku Związku Patriotów Polskich ponownie uzyskaliśmy pewne przywileje utracone w 1942 roku po zerwaniu przez Związek Sowiecki stosunków z Rządem Polskim w Londynie. Jednym z tych przywilejów była możliwość wyboru miejsca zamieszkania. Sol-Ileck leżał w Rosyjskiej Federacyjnej Republice Radzieckiej niemal na granicy z Kazachstanem. Mieszkało tu dużo Kazachów, chociaż na pewno nie byli w większości, ale bardzo dużo przyjeżdżało na handel i po sól. W Sol-Ilecku jest duża kopalnia soli. Ja jednak już do końca naszego pobytu na zesłaniu nie spotykałem się z nimi ani w pracy, ani towarzysko.

Do Polski wróciliśmy w ramach repatriacji w pierwszej połowie kwietnia 1946 roku. Gdyby nie okoliczności i warunki w jakich przyszło nam żyć w Kazachstanie, na pewno patrzyłbym na ten kraj zupełnie innym okiem. Jednak i tak nie raz oczami wyobraźni widzę piękny bezkresny step pełen barwnego kwiecia, rozkołysanych na wietrze traw z białymi pióropuszcami (nie wiem, jak się nazywają) przypominających wzburzone morze, odurzający swym zapachem, pełen śpiewu różnego ptactwa, nawoływań dzikiej zwierzyny. To na początku lata, kiedy przyroda tam dosłownie wybucha. Widzę go również, jak spalony słońcem, w drgającym od żaru powietrzu czeka na deszcz, który bardzo rzadko pada. Widzę jego zimowy urok pod czarnym, rozgwieżdżonym niebem, nieskazitelną biel śniegu skrzącą się w słońcu, słyszę wycie wichru i wycie wilków, które nieraz napęłniało serce trwogą. Nade wszystko wspominam mile Kazachów rdzennych mieszkańców tej ziemi, od których, poza nielicznymi wyjątkami, nie zaznałem niczego złego.

*

Kazimierz Burzyński urodził się 13 czerwca 1927 roku w Zagożdżonie (obecnie Pionki) koło Radomia. Został ochrzczony w Katedrze Łomżyńskiej (ojciec Edward pochodził z Łomży) stąd w dokumentach, jako miejsce urodzenia figuruje Łomża. Ro-

dzeństwa nie miał. W czerwcu 1939 roku ukończył szóstą klasę szkoły powszechnej. W czasie kampanii wrześniowej przebywał z babcią Kazimierą u rodziny w Warszawie. Po zajęciu stolicy przez Niemców wrócił do Łomży znajdującej się już pod okupacją sowiecką. Tu w czerwcu 1941 ukończył piątą klasę dziesięciolatki sowieckiej. Kilka dni później, w przeddzień wybuchu wojny niemiecko – sowieckiej wraz z rodzicami i rodzicami ojca został wywieziony do Kazachstanu. Przebywał kolejno w kołchozie Żusa-saj rej. Martuk, obw. Aktiubińsk, sowchozie Dżireń-Kupa, rej. Chobda, kołchozie Bru-siłówka, rej. Chobda a od października 1944 r. do repatriacji w końcu marca 1946 r. w miasteczku Sol-Ileck, obw. Czkałów, RFRR (kiedyś i obecnie Orenburg). Był robotnikiem rolnym, a w Sol-Ilecku robotnikiem w szpitalu rejonowym. Po powrocie z pięcioletniej zsyłki uczył się w Państwowym Gimnazjum, a później Liceum Przemysłu Drzewnego. Tam też od 1951 roku pracował w Warsztatach Szkolnych, jako główny technolog, kierownik biura technicznego, a przez dwa lata, jako pełniący obowiązki kierownika warsztatów. Po uzyskaniu w 1957 roku dyplomu inżyniera mechanicznej technologii drewna uczył przedmiotów zawodowych w macierzystej szkole, która po licznych zmianach nosi obecnie nazwę Zespołu Szkół Drzewnych. W 1983 roku wydał podręcznik *Konstrukcje wyrobów z drewna*. Jest autorem programów nauczania przedmiotów zawodowych. Do żadnej partii nie należał. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Zesłańców Sybiru i innymi licznymi odznaczeniami. Od 1984 roku na emeryturze. W 2004 roku opisał swoje zesłańcze przeżycia w książce pt. *Wspomnienia sybiraka*. Prywatnie szczęśliwy ojciec dwóch synów i córki, dziadek siedmiorga wnucząt, a od czwartego lipca 2004 roku pradiadek pierwszej prawnuczki Zuzi. (red.)

